

TYDZIEŃ.

PETROKOW dnia 1 (13) czerwea 1875 r.

Adres redakcyi: - Antoni Porębski - w Petrokowie przy drodze Żel. Warsz.-Wiedeńskiej w domu W-go Brendla.

Cena kwartalna:

w Petrokowie w księgarni L. Chodźki kop. 75
w Warszawie w kantorze pism peryjodycznych
Winiarskiego - róg Nowego światu i Ordynackiej - z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 10.
Prenumerować można nadto we wszystkich księgarniach krajowych.

„Tydzień” wychodzi w każdą niedzielę z dodatkami w razie potrzeby we wtoreki w piątek. Pojedynczy numer kosztuje 7½ kop. Cena ogłoszeń od wiersza lub za jego miejsce po kop. 5, za następne po 4, 3 i 2 kop. w miarę ilości powtórzeń. **Ogłoszenia** przyjmują się w redakcyi i w księgarni L. Chodźki; w **Warszawie** w kan. Winiarskiego - róg Nowego światu i Ordynackiej.

13 N.	4 po Św. Antoniego Padewskiego	W3-40	Z 8-19	Długość dnia god. 16 min. 39.	17 C.	Adolfa B. i Maryjana M. . .	W3-10	Z.8-21	Długość dnia g. 16 m. 41.
14 P.	Bazylego B.	3-40	8-20		18 P.	Marka i Marcelęgo M. . . .	3-40	8-22	
15 W.	Wita i Modesta MM.	3-40	8-20		19 S.	Julijanny P.	3-40	8-22	Pelnia księżycy.
16 S.	Benona B. i Justyny P. . .	3-40	8-21	Dnia przybyło god. 9 m. 3.	20 N.	5 po Św. Sylweryjusza . . .	3-40	8-22	Dnia przybyło g. 9 m. 4.

Treść: - Wiadomości miejscowe i z okolic. - Korespondencje Tygodnia: Z miasta przez J. R. - Kronika warszawska przez L. Niemojowskiego. - Wspomnienie pośmiertne. - Ogłoszenia. - **Odcinek.** Stary kapitan powieść przez E. Kor... (dokończenie).

WIADOMOŚCI MIEJSCOWE I Z OKOLIC.

= Dnia 16 b. m., jako w dzień elekcji Jana Maryi Ferreti'ego na Papieża, we wszystkich kościołach katolickich po odprawionej mszy św., odśpiewanym będzie hymn dziękczynny „Te Deum laudamus”.

WAŻNE PROJEKTY. Brak wody i wycieku z kanału Strawy - to dwa najgłówniejsze niedostatki naszego miasta pod względem sanitarnym. Zapobiedz jednemu i drugiemu niejednokrotnie już usiłowano - dobre wszakże chęci rozbijały się na niezem i kończyły na badaniach okolicznych źródeł i strumieni: wysokość kosztów nie pozwalała bowiem myśleć o sprowadzeniu do miasta wody z dalszych miejscowości.

Obecnie zmieniono środki osiągnięcia celu upragnionego dla dobra zdrowia mieszkańców. Postanowiono szukać wody w samym mieście, w głębszych niż dotychczas warstwach wnętrza. Strawę zaś zamienić w kanał kryty, przynajmniej w obrębie więcej zaludnionym. Wygotowaniem projektów tych ważnych i doniosłych robót zajmował się inżynier p. L. Russocki. O ile nam wiadomo, zaprojektowanem jest wiercenie studni na placu przed kościołem po-bernardyńskim, skąd woda, siłą maszyny parowej rozehdzić się będzie głównie po starej dzielnicy, od placu do Strawy, jako po części miasta najdotkliwiej cierpiącej na brak wody, co do jej składu i ilości.

Projekty powyższe są tak wielkiej wagi dla zdrowia publicznego, że witamy je z radością i życzeniem, by jak najrychlej uzyskać mogły zatwierdzenie władz właściwych i weszły w wykonanie.

CHODNIKI. *Kuryjer Świąteczny* zamieścił niedawno rymę przedstawiającą wylwanie asfaltem, i dowcipną, bo prawdziwy stan rzeczy malującą, odpowiedź wykonawców. Nie przypuszczamy, by ten rysunek i słowa miały się dotyczyć naszego starego grodu, który z tak wielkim kosztem zdobył parę lat temu nowoczesne asfaltowe ulepszenie, - widocznie jednak wykonawcy u nas tych robót kierowali się zasadą w *Kuryjerze Świątecznym* wygłoszoną. I tak donosiliśmy już, że chodniki nasze w bardzo wielu miejscach przyczynają się *rumienić*, obecnie z upływem czasu, a raczej przy zwiększonym w porze letniej ruchu ulicznym, czerwone ceglane plamy coraz silniej występują, zdradzając, jak wnosić stąd należy, chorobliwy, nieprawidłowy sposób wykonania chodników. Nie możemy się zaś pocieszać nadzieją, że plamy te zbledną, to jest że i cegła się wytrze, a przeglądając zacinie piasek fundamentu, bo wtedy niebezpieczeństwo dla przechodzących, przy pogłębieniu dziur, powiększy się jeszcze. Nie używamy tu wyrazu *niebezpieczeństwo* z przesady tylko, przeciwnie owszem przedstawia on rzeczywisty stan rzeczy, któremu jak najrychlej potrzebaby koniecznie zaradzić. Niezbyt dawno jeden z przechodzących mieszkańców wywichnął nogę w chodnikowej samofowce - że zaś wypadków podobnych przy nadejściu dłuższych wyczorów i niezbyt rzęsiętym oświetleniu ulic, będzie daleko więcej, przewidywać łatwo.

KONCERT. Wieści o koncercie pani Dowiakowskiej z współdziałaniem pana Wasilewskiego, o ile się dowiadujemy, nie bez podstawy krążyć poczęły w kole zwolenników muzyki i śpiewu. Prima-donna opery polskiej w Warszawie rzeczywiście zamierza dać się słyszeć w naszym mieście w ostatnich dniach bieżącego miesiąca. Bliższe szczegóły postaramy się donieść w przyszłym numerze.

TEATRY AMATORSKIE. Niejednokrotnie w naszych okolicach urządzone bywają przedstawienia sceniczne na różne dobroczynne cele - po większej części nawet z powodzeniem, świadcząc o talentach i pracy osób biorących w nich udział. Że amatorki i amatorowie mają przedewszystkiem dobro ogółu na względzie, o tem nie chcielibyśmy wątpić ani na chwilę - i w imię téż owego dobra, dla którego powiększenie dochodu nie jest obojętnem, prosimy o wczesne zawiadomienie o tytułach sztuk wybieranych i celu, na jaki przeznaczają się dochód z przedstawienia. List z podobnym doniesieniem kosztuje tylko 20 groszy - przez zawiadomienie zaś w właściwym czasie szerszego koła czytelników - dochód odpowiednio bezzawodnie znacznie się zawsze powiększy.

BURZA. W dniu 8 b. m. o god. 3-jej popołudniu miasto Częstochowę i okolice przyległe nawiedziła silna burza gradowa; grad wielkości laskowego orzecha spadł nader obficie, jakkolwiek długo nie zalegał ziemi, powybił setki szymb w rozlicznych stronach miasta, a także niemało zrzadził szkody w zasięwach. Piorunowe gromy wtórowały rozszalałej burzy, niosąc klęskę pożogi; i tak we wsi Wyczerpy Dolne, stanowiącej własność p. Szymona Goldmana, piorun zabił owczarka i spalił stodołę wraz ze znajdującymi się tam owcami, po myciu przygotowanemi do strzyżenia; we wsi Ostatni Grosz uderzył w stodołę biednej wdowy, i spalił ją do szczytu. Zaledwie pierwsza burza minęła, zaledwie słońce mile zaświeciło, nowy huragan znów przebiegł po nad miastem, to lejąc jak z cebra ulewnym deszczem, to bijąc piorunowymi gromy jeden po drugim. Straty dotychczas niewiadome; ale jak słyhać mają być znaczne, tak w zasięwach, jako téż i w budynkach spalonych od uderzenia piorunów.

STARY KAPITAN

obrazek z naszych czasów

przez E. Kor...

III.

W parę dni po wyżej opisanych wypadkach, wśród pięknego dnia zimowego, elegancie sanki, opatrzone ciepłymi futrzanymi fartuchami, zaprzężone w cztery dzielne konie, a kierowane przez furmana ubranego w dużą szubę liberyjną, na której guzikach herbowych błyszczały hrabiowskie korony, szybkim kłusem jechały przed karcznię stojącą pod lasem, przy jednym z bardzo uczęszczanych traktów w krakowskim.

Zaledwie sanki stanęły, wysiadł z nich staruszek ubrany w ciepłe futro i rzekł do karczmarki przybyłej na jege spotkanie:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.
- Na wieki wieków, amen.
- Moja pani - zawołał podróżny - bądź tak dobra i dajno owsa koniom, wódki furmanowi, a mnie zagrzej piwa, bo tegi mróz.
- Niech ino wielmożny pan pozwoli do stancyi, tam ciepło, zaraz wszystko zrobię.

Podróżny wszedł do stancyjki karczemnej, rzeczywiście ciepłej i schludnej, zdjął futro i zaczął się przechadzać po izdebce szerokimi krokami. Po ubiorze podróżnego łatwo poznać w nim było księdza.

Po chwili téż, gdy karczmarka wróciła i spojrzęła na gościa, przybliżyła się do niego i pocałowała

go w rękę z tém uszanowaniem, jaki nasz lud prosty do dziś dnia ma dla duchownych, rzekła:

- Niechno wielmożny ksiądz dobrodziej się rozgosczać, o koniach i furmanie już pamiętałam, a zaraz zgotuję ciepłą polówkę.
- Moje dziecko - przerwał ksiądz - powiedz mi jak to daleko stąd będzie do Wólki?
- Do Wólki - odparła kobieta - o jeszcze tegie trzy mile będą, w lecie toby było jeszcze ze cztery.

Ksiądz się uśmiechnął i łagodnie odparł:

- A dla czegoż w lecie aż cztery, czy to dalej w lecie jak w zimie.
- A ma się rozumieć proszę jegomości, na jesieni na roztopach to jeszcze dalej, można rachować przynajmniej ze sześć mil, bo ino noga za nogą co można jechać.
- A rozumiem cię teraz moje dziecko - ciągnął dalej ksiądz uśmiechając się z bardzo logicznego rozumowania krakowskich chłopów co do odległości.

Gospodyni prowadząc rozmowę, paliła ogień, piwo lała w garnuszek, tłukła jaja.

- Słuchajno moja gospośiu - zapytał ksiądz - czy nie wiejszo kto mieszka w Wólce?

- A wiem proszę jegomości, ale podobno już ich tam od paru dni niema, bo już tam mają innego dziedzica.

Twarz księdza się zasepiła.

- Wszystko co ino było sprzedali za długi - ciągnęła dalej karczmarka, - a zacny bo to był pan, wszyscy go chwala i wszyscy gadają, że gdyby był nie taki ucziwy, to byłby sobie nie dał zabrać Wólki, - kupił ją podobno ten, co to ojciec jego w naszym dworze był za akomona.

Staruszkowi iza błysnęła w oku.

- Biedna Zosia - szepnął - A czy dawny dziedzic jeszcze jest w Wólce? - zagadnął dalej ksiądz.

- Tego to nie wiem napewno, ale kajby się tam podzieli, pewnikiem muszą jeszcze być.

Staruszek przestępował z nogi na nogę, wesoly wyraz twarzy ustąpił, a na jego miejsce uwydatnił się niepokój i niecierpliwosc, wyszedł do stajni i kazał furmanowi zaraz zaprzęgać jak konie zjedzą, - po powrocie do stancyi wypił polówkę, lecz jej nawet nie pochwalił, pomimo gadatliwości karczmarki, nie odzywał się wcale, chodził tylko po izbie smutny i zamyślony, często spoglądając w okno czy konie nie zaszły.

Po godzinem oczekiwaniu, nasz podróżny zapłaciwszy, szybko wsiadł do sanek, a ręca czwórka tegim kłusem pobiegła traktem ku lasowi.

W Wólce tymczasem nowy dziedzic pan Stanisław siedział w bawialnym pokoju, twarz jego jaśniała radością, szczęściem, - spoczywał na laurach. Plan swój doprowadziwszy do skutku, - słodko marzył o przyszłości, o pozycyi jaką zajmie jako dziedzic, jako obywatel, połączywszy się związkami familijnymi z całą okolicą za pomocą żony. Pan Stanisław myślał teraz ożenić się naprawdę, koniecznie; myślał przebiegał wszystkie panny mieszkające w sąsiedztwie; posagu nie pragnął, tylko związków familijnych jak najrozleglejszych. Od czasu do czasu wzrok jego podnosił się na szereg portretów przodków dawnego właściciela. Ani jednego nie brakowało, na samym przedzie jaśniała twarz podpułkownika, ocy jego zdawały się groźnie patrzeć na dorobkowieza. Czy nowy pan także to zauwazył? Bo ile razy spojrzenie jego

Z miasta. *)

Pisał niegdyś A. Sniadecki, że: „Ci rodzice co lekceważą przyszłość dzieci, bodaj ich nigdy nie mieli, bo dzieci nie są naszą, ale społeczną własnością; dzieci nie powinny być przedmiotem samych tylko pieszczot i zabawą rodziców, bo jeżeli z tych dzieci mają być ludzie świata użyteczni, to społeczeństwo ma prawo wymagać, abyśmy go niedołąkami nieobdarzali“.

Tymczasem jakże z temi dziećmi bywa? Oto z pojawieniem się wiosny, ujrzelismy na ulicach i w ogrodach naszych znaczną liczbę tych bladych, wątłych i nikłych istot, przechowywanych przez pół roku w zamkniętych mieszkaniach, wyglądających jak owe cieplarniane roślinki;— rzecz naturalna, że z dzieci tak wychowywanych, nie wyrosną zdrowi ludzie, stąd też nowe pokolenia coraz są słabsze i do chorób skłonniejsze.

Ludzie praktyczni i wielu światłych lekarzy, w pismach specjalnie temu poświęconych, ustawicznie radzą i zachęcają do wychowywania młodzieży w warunkach najskuteczniej wpływających na rozwój sił fizycznych, bo to tylko utrwała i przedłuża życie, a kiedyś świadczyć będzie o stopniu ukształcenia naszego,—lecz któż u nas czyta takie rzeczy? Niektóre z pań, nawet takie, co to mają pretensyjną rej wodzić pomiędzy innymi, utrzymują, że już nudzić je poczynają te morały, te pisma traktujące o sposobach wychowywania dziatwy, że one takich pism nie potrzebują czytać, bo będąc matkami, wiedzą tym samym jak się z dziećmi obchodzić, że czytają je tylko w braku innych zajęć, dla rozrywki, lub gdy zasnąć nie mogą. Znamy panie, które w ten sposób się odzywały, a znamy i takie, które wolały przeglądać dzienniki mój, aby wiedzieć jak się na zabawę, a jak na ulicę ubrać, lub jakie świeże powieści albo romansidła dla rozrywki przejrzeć, niż zająć się przechadzką albo inną pożyteczną dla zdrowia dzieci zabawą; taki obowiązek zwykle powierza się bonie, bo taka moda, taki obycaj i tak wygodniej. Wychowujemy więc owe wychuchane lalki, lub owych łysogłowych, laskonogich zdechlaczek, a mamy pretensyjną, aby gdy dorosną, kojarzyły się małżeństwa, chyba dla tego, iżby tę

*) Pod tym napisem podawać będziemy odpowiedzi na list p. S. P. w Nr. 15 zamieszczony, t. j. na szereg postawionych w nich pytań, uzupełniając i inne pominięte w nim szczegóły. (Przyp. red.)

upośledzoną rasą, do nieskończoności przedłużać.— Wielolicznie np. już zwracano uwagę na konieczną potrzebę urządzenia w mieście gimnastyki, którą na całym świecie za jedyny środek prawidłowego rozwoju fizycznej budowy człowieka uznano i którą sąsiedzi nasi w każdym niemal miasteczku i przy każdej szkółce elementarnej mają, a na jaką my w mieście, liczącem przeszło 16,000 mieszkańców, zdobyć się nie możemy. Dotąd jednak nikt się nie znalazł, coby się tém zajął, a przecież należy to do rodziców dbałych o zdrowie potomstwa i mających po temu środki, bo ich to głównie interesować powinno, a takich rodziców jest w mieście niemało. Pomiedzy utrzymującymi pensjonaty są ludzie dobrych chęci, wdzięczna publiczność oceniać winna ich mżolne prace i dopomódz a pewnieby nie odmówili swego w tém współdziśniu, gdyby ktokolwiek z czynną inicjatywą wystąpił. Rzecz ta nie jest znowu tak trudną ani kosztowną, idzie więc tylko o to, aby pojąć jej ważność i rękę do dzieła przyłożyć;— ale my wolimy modę jak zdrowie, my wolimy kilka godzin codziennie dręczyć ową dziecinę brzdąkaniem na fortepianie, niż korzystać z gimnastyki albo wyprowadzić na świeże powietrze. Dla czego? Bo muzyka i francuzczyzna jest w modzie, a o użyteczności gimnastyki wié bardzo mało matek. Jaki pożytek z tej powszechnej muzykalności? Czy jest talent któryby uprawiać warto? Czy będzie z niej korzystała przyszła męzátka i matka, gdy przyjdzie troska o materialny byt rodziny? O to uikt nie pyta, ale muzyka być musi, fortepijan w każdym domu, niemal na poddaszu być musi, bo taka moda. Ta nieszczęśliwa moda, fałszywie pojmwana ambicja i naśladowstwo, gubi nas i poniża wobec zdrowego rozsądku; lecz gdy z wadami temi, czy też ze zwyczajami rozstać się nie mamy odwagi, gdy piérwiastkowe najważniejsze wychowanie naszych dzieci, jakie tylko rozsądna matka dać może, powierzamy Bóg wié skąd sprowadzonym, często ordynaryjnym i niemoralnym cudzoziemskim kobietom, to miejmy przynajmniej sumienie nienaraza naszych dzieci na fizyczne ułomności, bo powinniśmy wiedzieć, że odpowiedzialni jesteśmy przed Bogiem i przed światem za stan zdrowia tych, którym daliśmy życie. Jeżeli więc nie chcemy postępowaniem naszym wytrwale zaprzeczać temu przyrodzonemu prawu, powinniśmy pamiętać, że zdrowa myśl, w zdrowém ciele się rodzi,— nie wypada zatem lekceważyć rad podawanych nam w tém mierze przez specjalnych badaczy, ale owszem przeciwnie troskliwie zapoznawać się z uznanym przez nich za najlepszy kierunkiem i całe wychowanie dzieci stósować ściśle do udzielanych wskázówek.

J. R.

Pora wiosenna zazieleniła drzewa, opustoszyła teatru, napełniła ogrody— wkrótce nastąpi czas, w którym wybredniejsza w przyjemnościach życia część mieszkańców pociągnie za granicę, lub przynajmniej zechce szukać pozorów wiejskiej ciszy w tak zwanych letnich mieszkaniach — obecnie zaś kto tylko może, robi wycieczki po za mury miasta a dwa nasze ogrody, Saski i Krasieńskich, roją się w niedziele i święta tłumami publiczności. Naprózno w nich jednak zwolennicy przyrody szukają świeżego i ożywczego powietrza. W piérwszym króluje coraz bardziej rozpowszechniający się rodzaj ptactwa zwanego przez ornitologów „pawicami ogoniastymi.“ Samice tego rodzaju podnosząc tumany kurzu, stały się prawdziwą plagą dla spacerujących. Drugi zaś ogród przypomina nam owe pierwotne czasy, w których dwanaście pokoleń peregrynowało z Egiptu, szukając ziemi obiecanej.

Jak już wyżej powiedziałem łoże i krzesła w obydwóch teatrach świecą pustkami, i nie w tém dziwnego: podniesiona temperatura przy zupełnym braku wentylacji jest jedną przyczyną podobnego opustoszenia przybytku Tali, Meipomeny i Terpsychory. Otóż więc dbała zawsze o zadowolenie widzów dyrekcja sprawadziła trupe śpiewaków francuzkich, którzy wystawiając liryczne utwory Offenbacha i Lecoque'a, każą nam zapominać o gorącu.

Jednocześnie laskę dyrektorską miejscowej opery ujął p. Trombini. Jaką korzyść ta zmiana przyniesie, przesądzać nie chcemy, zdaje nam się jednak iż jednym z koniecznych warunków jakiegoś posiadania potrzebował wybrany dyrektor, winna być choćby powierzchowna znajomość języka, w którym odbywają się przedstawienia. O stósunkach nowo mianowanego maestra z chórami, i różnego rodzaju nieporozumieniach, jakie każdego niemal dnia mają miejsce, tysiące opowiadają anegdot: przytoczymy jedną.

W tych dniach w czasie trwania próby, p. Trombini pragnąc zwolnić przyspieszone tempo zawołał kilkakrotnie donośnym głosem: „piano! piano!“ — „Nikt tu z nas nie jest pijanym, panie dyrektorze,“ zawołało z oburzeniem kilku chórzystów.

Jeżeli jednak trudne do przeniesienia upały zmniejszają dochody kasy teatralnej, nie na świecie nie zdoła zachwiać powodzeń cyrkowych. Istnieje tu pewna koterja tak zwanej „złotej młodzieży“ która wszelkich usiłowań dokłada ażeby podtrzymać tego rodzaju widowiska. Dla rozwoju sztuki hipicznej nie szcędzą oni ani ciężko przez rodziców zapracowanego grosza, ani drogiego czasu

padło na portret, tém prędzej zwracało się w inną stronę, a twarz jego chwilowo przybiera wyraz jakiegoś dziwnego obawy...

W ganku stało kilku interesantów, których odprawiał lokaj w surducie liberyjnym z herbowymi dużymi guzikami. Pan Stanisław miał już i herby. Cóż dziwnego, przecież to dziewiętnasty wiek, w którym się wyśmiewają z herbów, a w duszy ich pragną.

Pan Stanisław wstał, przeszedł się parę razy po pokoju, gdy wtém dzwonki dały się słyszeć na podwórzu i przed ganek zajechały sanki zaprzężone w parę dobrych koni w krakowskich ehomontach.

Dorobkowiec spojrział w okno, z sanek wysiadł Edward, Zofija, na ostatku kapitan. Uroczysta powaga malowała się na ich twarzach.

Nowy dziedzic zbladł, jakaś niepojęta trwoga, z której nie mógł sobie zdać rachunku, ogarnęła go całego.

Drzwi się otworzyły, rodzina Wolskich ukazała się w proggu.

Kapitan bystrém spojrzeniem przebiegł cały pokój, uśmiech zadowolenia ledwo widzialny przesunął po jego ustach. Stanisław drżał jak w febrze, nie mogąc słowa przemówić. Edward piérwszy przerwał tę chwilę uroczystego milezenia, odzywając się do swojego imiennika.

— Panie! korzystałeś z moich nieszczęsć, ażeby stać się właścicielem Wólki. Zamiary twoje ziściły się. Kupiłeś ją na licytacji, lecz termin prawem przepisany jeszcze nie upłynął i ja mogę czwartą część postąpić i w Wólce się utrzymać. Przybywam więc, ażeby zwrócić ci twoje pieniądze.

— Co! — krzyknął Stanisław.

— Tak — ciągnął dalej Edward — zwracam ci pieniądze, które zapłaciłeś za moją wioskę, oraz za ruchomości, które się tu znajdują, — wszystko mam wyrachowane, grosza więcej nie dam. Gdy się zaś będziesz sprzeczał, przestrzegam, że będę cię ścigał na drodze kryminalnej jako oszusta i lichwiarza, bo mam na to dowody, własnoręczne twoje listy pisane do mojego rządcy, a te cię zgubią.

— Łaski! litości panie! — zawołał Stanisław.

— Oddaj mi to co moje, a nietylko przebaczę, ale zapomnę złego, które mi wyrządziłeś. Lecz przez tego Chrystusa ukrzyżowanego decyduj się prędko, bo za dziesięć minut będzie zapóźno.

— Panie! — jęknął wnuk kucharza — ja kupiłem, ja zapłaciłem, ja nie oddam.

Edward milezał, jedną ręką wskazywał na zegar, w drugiej trzymał listy Stanisława.

— Tak, nie oddam Wólki, będę cię licytował, nie wyrzeknę się tak prędko moich marzeń, to niegodnie, — macie pieniądze, dla czego piérwej nie zapłaciliście mi mojej należności; czemuż dopuściliście żebym ja kupił Wólkę, a teraz mi ją wydzielacie?

— Milez nędzniku! — zawołał syn kapitana, — ty nazywasz wydareńcem, gdy chcemy odebrać to, co ty nam wydarłeś podstępem.

— Nie unos się Edwardzie, — przerwał kapitan ze swoją zimną krwią. — Ten pan musi ustąpić, a widocznie chce mieć do czynienia jeszcze z prokuratorem.

Syn ekonomy raz bladł, drugi raz siniał, wreszcie drżącym głosem rzekł:

— Panowie przebaczenie, ja może tanio kupiłem.

— Nie! — zawołał Edward — oto są pieniądze, czy bierzesz?

— Decyduj się prędzej — dodał kapitan — bo trzecia godzina zaraz wybije, a skargę gotową mam w ręku.

— A więc dobrze, biorę pieniądze, ale dajcie mi choć kilka tysięcy więcej.

— Ani grosza — zawołał Edward.

— Chociaż dwa tysiące.

— Nie — rzekł kapitan.

— To chociaż tysiąc.

— Trzecia godzina zaczęła bić. Zabiéram moje pieniądze i odjeżdżam — zawołał Edward.

— Panie przebac, już bióre — jęknął Stanisław.

— No to dobrze — dodał kapitan, — ale wprzódy proszę pójść za mną, — to mówiąc, otworzył drzwi od drugiego pokoju, w którym czekał rejent.

Pan Stanisław po podpisaniu aktu odebrania pieniędzy, opuścił zaraz Wólkę, której tak krótko był właścicielem.

— Skąd oni wzięli pieniądze? — było zapytanie które sobie robił, a na które nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Ponieważ i nasi łaskawi czytelnicy także nam zrobiają to samo pytanie, chcąc więc zaspokoić ich słusne żądanie, musimy się wrócić do chwili, w której kapitan upadł w kaplicy tknięty atakiem apoplektycznym, — padając, uderzył głową o sztyft w taflę posadzki, krew się polała z czoła starca, i to go ocaliło. Sztyft był tajemną sprężyną. Na skutek uderzenia tafla się podniosła, pod nią ukazała się piwnica, z której powiało grobowe zimno; gdy kapitan przyszedł do siebie, spostrzegłszy miejsce, w którym rozstąpiła się posadzka, zawołał słabym głosem:

ani wreszcie godności osobistej. Rzucają olbrzymie bukiety pod nogi koniom, fundują przyjacielskie śniadanka dla zręcznych woltyżerów, płacą wspaniale po sto rubli srebrem za jedną łożę, i pałają czułymi afektami przyjaźni dla pajaców i clown'ów. Jeżeli jednak czasami, jak to miało miejsce przed tygodniem, spotka którego z nich mała nieprzyjemność w rodzaju cielesnej korekcyi, nie mają zwyczaj brać tego zbyt do serca—i nie dziwnego: kto z kim przestaje takim się staje — clown'y, jak powszechnie wiadomo, biją się w cyrku na zarty, kto więc z nimi za pan brat żyje, niepowinien się o podobne drobnostki obrażać. Kilkakrotnie zadawałem sobie pytanie, dla czego u nas to gronko, na szczęście nader szczupłe, zwie się złotą młodzieżą? Dla czego? Oto miedź nieraz świeci podobnym blaskiem jak ów drogocenny kruszec, a panicze ci posiadają niestety... miedziane czoła!

Przybył do Warszawy z nad brzegu Gangesu jakiś indyjski czarnoksiężnik, ozdobiony maóstwem orderów czerwono-skończych władców. Sądziłszy iż pan Ruchwaldy pokaże nam cokolwiekbądź przypominającego jego wschodnie pochodzenie np. sztukę czarowania węzów, tymczasem wszystkie jego produkcje nie różniły się w niczem od znanych powszechnie eskamoteryj: jedną tylko reklamą przewyższył dotychczasowych swoich poprzedników. Afisz opiewający owe cuda, mógłby uczynić niejaki wrazenie na jarmarcznej publiczności trzeciorzędowego miasteczka, u nas przyłożył się niemało do odstrężenia widzów, co do samego zaś przedstawienia, składało się ono z mniej lub więcej zręcznych geclowskich sztuczek, z bardzo niezręcznego ucięcia głowy, i z gry na rodzaju piszczałek bambusowych, którym szanowny profesor magii nadał niepodobne prawie do wymówienia miano. Owo dziko-brzmiające określenie instrumentu było jedynym indyjskim szczegółem, w tej czysto europejskiej produkcji. A prawda... w sali panowało prawdziwie indyjskie gorąco, i ceny też nałożone na bilety wejścia były najzupełniej... indyjskiemi.

Pomiędzy licznymi przybyszami dającymi nam wzajem za ciężko zapracowany grosz, miałem jak miarę, a żadnej przyniesić niemogące korzyści rozrywki, wyróżniam p. Fliegie'go, dyrektora orkiestry z Berlina, który po usunięciu się p. Sonenfelda objął łaskę dyrektorską w Dolinie Szwajcarskiej. Tak wyborniej muzyki nie zdarzyło nam się oddawna słyszeć. To też publiczność nasza wynagradzając rzeczywiste a wysokie zalety wspomnianej orkiestry śpieszy tłumnie napawać się z rzadką precyzją, werwą, i jednolitością wykonywanymi utworami muzycznymi.

Sezon przedstawień amatorskich w teatrzyku tow. dobroczynności skończył się już. Oceniając dobre

chęci improwizowanych artystów niepozwoiliłbym sobie nigdy krytykować ich gry, témbardziej, że pomiędzy amatorami byli i tacy, którzy wywiązali się wcale nieźle ze swojego zadania; niech mi jednakże będzie wolno zwrócić uwagę komitetu zarządzającego wspomniane zabawy, na niewłaściwy wybór sztuk do grania przeznaczonych, z których niejedne rażą dobry smak a nawet salonową przyzwoitość. Nadto administracja winna baczyć więcej na wygodę publiczności przez urządzenie odpowiedniej kontramarkarni (dotychczasowa mieści się w sieni) i przez zamówienie dorożek dla potrzebujących.

Nowy zarząd towarzystwa muzycznego przekonawszy niechętnych i zawistnych, że przy dobrej woli, pracy i wyrwałości można cudów dokazać, zamyka stósownie do ustawy na cztery miesiące wieczory muzykalne i koncerty, ażeby znowu po upływie tego czasu z nowemi występami siłami. Tow. muzyczne w przeciągu krótkiego czasu istnienia nowego zarządu umiało zdobyć sobie własne chóry, a wkrótce posiadać będzie i własną orkiestrę.

Upały, które zaczynają być coraz dokuczliwsiymi opustosząc teatry, przyczyniając się do niepowodzeń indyjskich magików, zamykając niektóre z zimowych rozrywek, nie wpływają bynajmniej na zmniejszenie literackiego ruchu. Drukuje się i czytują maóstwo dzieł tak poważnej jak i ulotnej treści; najwięcej jednak doznają powodzenia te z wydań, które w przystępnej formie traktują przetm i naucezające przedmioty. Literatura peryjodyczna także nie zasypia; każdy dział jest przedstawiany przez odpowiednią publikacją, niektóre nawet jak np. pisma ilustrowane jako też tygodniki poświęcone modom i lżejszym utworom, podwójnie posiadają organa. Podobne, że się tak wyrażę, zdublowanie, wyradza ciągłą walkę o palmę pierwszeństwa, wpływając korzystnie na stopniowe ulepszenie tych dwóch publikacji—choćby sumienie sprawodawcy wyznać mi każe, iż te z nich, które dawniej istnieją, mają pomimo mniejszej stósunkowo liczby prenumeratorów niezaprzeczenie większą wartość literacką.

Zdawszy treściwy rachunek z ruchu miejskiego ubiegłych kilku tygodni, pozwolę sobie jeszcze kilka słów powiedzieć. Czytelnicy moi może zauważać raczyli iż nie należę bynajmniej do optymistów—dostrzegłszy ujemne strony wytykam je niepowodując się nigdy zgubną dla rozwoju społecznego tolerancją. Ale wszystko na świecie powinno mieć swoje granice. Karcąc rzeczy zdrowe, szkodliwe, gorszące, zostawmy w spokoju pewne wyobrażenia może cokolwiek przestarzałe, które jednak nikomu żadnej krzywdy uczynić nie mogą. Jeżeli np. ktoś mając do tego najzupełniej prawo kazał wymalować rodzinne godło na swym powozie, lub przyszyć galo-

ny swemu służącemu, czyli się godzi korespondentem czynić mu z tego publiczny zarzut i kłaść podobnie niewinną słabostkę w rząd czynów niecznych i godnych publicznego potępienia, tak jak to uczynił pan S. P. w korespondencji „Z miasta,“ zamieszczonej w № 15 „Tygodnia?“ Herb żadnych przywilejów nie daje, nikogo nie wywyższa kto się własnymi czynami wywyżzyć nie zdołał, ale stanowi rodzaj pamiątki familijnej, którą zawsze szanować należy; nie pochwalamy przesady w owym poszanowaniu, za daleko niewłaściwsze jednak uważamy kładzenie staroświeckich, przeżytych wyobrażeń na równi z występkami jak to uczynił pan S. P. W ostatnim razie, jeżeli już owa źle rozumiana cześć dla przodków ma być koniecznie tak wielką zdrożnością, to przynajmniej korespondenta iż ona jest udziałem kilku zaledwie jednostek, czyni, iż powyższa szermierka jest co najmniej nie logiczną, stojącą w sprzeczności z uznaną powszechnie zasadą nietykania nigdy w pismach publicznych pojedynczych osobistości. (*)

Ludwik Niemojowski.

Wspomnienie pośmiertne.

Z nad Prosną.

Dnia 7 maja rankiem, w parku miejskim, pośród drzew okrytych świeżą zielonością, w chwili, gdy ptaszki świergocąc radośnie, budziły się ze snu i gdy cała natura śmiała się do wschodzącego słońca, młody czławiek z przepełnionem gorczyczą i żalem do świata sercem pozabawił się życia. Wiadomość o tym wypadku lotem błyskawicy rozbiegła się po mieście i najobjętniejsze serca głęboko przejęła. W parę dni potem, tysięczny tłum kobiet i mężczyzn, w głębokim smutku i milczeniu, którego nie przerywał żalobny śpiew księży, szedł za prostą, czarną trumną, kryjącą zwłoki młodzieńca, którego przyjaciele na barkach swych do zimnej ponieśli mogiły. Dłonie ich rzuciły na wieko trumny kilka garstek ziemi, kilka łez gorących spłynęło i po chwili wszystko ucichło, tłumy się rozeszły, a tylko wśród pola, zielonym pokrytego kobiercem, wyrosła smutną bez krzyża mogiła, nad którą może już nigdy matka nie zapłacze, i tylko cichy szum wiatru syna jej do snu kołysać będzie, a bluszcze i stokrocie przyjazną zasadzone rękę, zielonym wieńcem łożę mu oplotą.

Co w rzeczywistości skłoniło do tego rozpaczliwego kroku młodego, pełnego nadziei człowieka, pozostanie na zawsze tajemnicą pomiędzy nim a Bogiem. Dociekać jej niechcę, ani też przypuszczeń, kto w tem wszystkim zawinił, jako zbyt drażliwych, robić nie będę, aby nie drażnić tém przychylnych już namiętności, które czas tylko, ten wielki lekarz ludzkich boleści, w zupełności uśmierzy.

Młoda kobieta na ten wyraz „Błogosławieństwo“ drgnęła konwulsyjnie, obróciła się nagle ku drzwiom.

— Ksiądz Piotr!—zawołała w najwyższem uniesieniu i rzuciła się ku starcowi, całując jego ręce.

— Hrabia przebacza—rzekł ksiądz Piotr,— byłby sam przyjechał, ale jest cierpiący, przysyła mnie tymczasem, ażebym wam przywiózł jego błogosławieństwo i prośbę, żebyście nie mieli do niego żalu, oraz żebyście przyjechali do niego jak najprędzej wraz z kapitanem, któremu się przypomina jako dawnemu koledze wojskowemu i czeka swoich dzieci z prawdziwie ojcowskiem sercem. Oprócz tego przywożę pieniądze, ażeby Wólka nie była sprzedana, ale podobno się spóźniłem.

— O ile pierwsze przyjmujemy z całym sercem—rzekł kapitan,—o tyle za drugie dziękujemy, już nam niepotrzebne. Trzeba było cudu, by Wólkę ocalić—i Bóg go uczynił.

— Dobre chęci jednak hrabiego przyjmujemy, i zaraz się wybieramy, żeby mu za nie osobicie, podziękować—rzekł Edward.

Zofija rzuciła się mężowi na szyję.

— Więc teraz nie ci nie brakuje do szczęścia—zapytał wesoło Edward.

— Teraz jestem prawdziwie szczęśliwą—szepnęła tuląc się w jego objęcia.

(*) Widoczne zachodzi tu nieporozumienie. Pan S. P. nie miał zamiaru poniewierania czyichkolwiekbądź pamiątek, a przetm trudno zaprzeczyć, że nie zewnętrzne oznaki i wyróżnienia, ale przymioty i wartość moralna są drogocenną spuścizną, którą szanować i przekazywać wzajem należy. (Przyp. red.)

— Edwardzie! Zofijo! Bóg mnie wysłuchał, jesteście ocaleni; podnieś tę taflę, tam jest skarb schowany przez dziada mojego, wynosi on około pół milijona w złocie. Ojciec mój umierając, powierzył mi tę tajemnicę, ale nieznał miejsca, powiedział mu jego ojciec o tym skarbie umierając, ale już nie miał czasu objaśnić go gdzie się znajduje.

Edward odsunął taflę, pod którą była mała piwniczka, a w niej szkatułka okuta żelazem. Kapitan się nie mylił, rzeczywiście w szkatułce było dwadzieścia dwa tysiące dukatów.

Po odjeździe pana Stanisława, cała rodzina była w bawiałnym pokoju, Edward ścisnął żonę, kapitan chodził od portretu do portretu, jakby się z nimi witał, po twarzy jego igrał zwyczajny uśmiech łagodny i spokojny, wtém przerwał nagle swoją przechadzkę, a obracając się do dzieci, rzekł:

— A cóż nie mówiłem, że nie trzeba się było martwić, Bóg nigdy nie opuści tych, co w niego wierzą. Wy młodzi powiecie: tak, to było tylko pierwsze zdarzenie, a ja powiadam, to łaska Boża, — to prawdziwy cud.

— Cud prawdziwy ojeze koehany—dodała Zofija,—jestem młoda, ale wierzę w Boga i w jego miłosierdzie.

— Drogi aniele!—zawołał Edward—i ja wierzę, ale powiedz mi droga moja jedyna, dla czego ty jedna nie podzielasz naszej radości, dla czego cię nie widzę tak szczęśliwą, jakbym tego pragnął. Spostrzegam na twój anielskiej twarzy jakąś chmurkę, jakiś cień smutku. O! powiedz mi droga, czy ja w czem zawiniłem względem ciebie? Przez cztery lata walki z przeciwnościami, widziałem cię

zawsze odważną i przyjmującą ciosy, które nas spotykały, z rezygnacją, nie widziałem żadnej chmurki na twój twarzy, serca nasze nie miały żadnej ukrytej myśli, a dziś Zofijo,—widzę, czuję ty coś ukrywasz przedemną... powiedz... Czy mnie przestałaś kochać?... Byłby to cios, którego bym nie przeniósł.

— Edwardzie! mój drogi, przebacz!—zawołała młoda kobieta zalévając się łzami,—przebacz mi, że ci mimowolnie zrobiłam przykrość. O ty mój jedyny, ty mówisz, że ja ciebie przestałam kochać, ciebie, który dla mnie jesteś wszystkiem, — tak przyznaję ci, jestem zasmuconą, bo czuję, że jeszcze nasze próby nieskończone, — słuchaj Edwardzie! Nie gniewaj się na mnie, ale tu szczęścia nie będzie w tym domu dopóki ja w nim będę.

— Co ty mówisz?—zawołał Edward.

— Córkó ukochana!—krzyknął starzec—twojeż to są słowa?

— Tak, nademną wisi przekleństwo starego ojca,—porzuciłam święte obowiązki córki, ażeby pójść za popędem serca; jestem szczęśliwa jako żona—zawołała z uniesieniem Zofija,—szczęśliwa jak może żadna kobieta, ale ciągle jak widmo ukazuje mi się, w chwili kiedy jestem najszczęśliwszą, ojca mego przekleństwo!

Ojciec i syn smutnie zwiesili głowy.

— Błogosławieństwo!—dał się słyszeć głos po za nimi we drzwiach.

Ojciec i syn po nieśli głowy, patrząc w kierunku, w którym dał się słyszeć głos.

Ksiądz staruszek, któregośmy poznali na popisie, stał w progu, wszedłszy niepostrzeżony, był świadkiem ostatnich słów Zofii.

Przyczyna istniała, boć bez przyczyny nikt dobro-
wolnie życia się nie pozbawia. Jeżeli jednak wini-
my tego, który pomimo zbytniej drażliwości i bra-
ku odwagi do zniesienia przeciwności, targnął się
na życie własne,—bez kwestyi i społeczeństwo, po-
śród którego jednostka ta przebywała, część winy
przyjąć musi na siebie choćby z uwagi na warunki
życiowe, pośród których egzystencja dla słabszych
duchem staje się często ciężarem. Wypadek ten
jest jeszcze o wiele boleśniejszym z tego powodu
że ogół stracił myślącą istotę, która pracą swą i
zdolnościami bardzo mogła być dlań użyteczną.

Zygmunt Zanożyński w krótkim swojem życiu,
zupełnie odmienną postępował drogą od wielu,
którzy równi jemu wiekiem, a posiadając daleko
więcej odeń zasobów materialnych i umysłowych,
dostawszy się raz w koło prowincjonalnego życia,
albo w bezczynności z dnia na dzień wegetują, al-
bo też pędząc życie swe w bezmyślnych, a ubliża-
jących gośności ludzkiej rozrywkach, skarby te za-
tracają. Otóż Z. Z. przeciwnie po ukończeniu nauk,
czując potrzebę dalszego kształcenia, zwrócił się
z całą usilnością do pracy, pragnąc poświęcić życie
swe zawodowi literackiemu. Jakoż wkrótce wyda-
wać zaczął w Warszawie staranny przekład przez
siebie uskuteczniiony, dzieła traktującego o ana-
tomii porównawczej. Następnie przeniósł się
na urządowanie do Siedlec, walcząc z tysiącami
trudności i uprzedzeń małomiasteczkowych do
wszelkich nowości, redagował Noworocznika sie-
dleckiego, ostatecznie zamieszkałszy w Kaliszu,
był sprawozdawcą do kilku pism warszawskich,
wydawał książkę zbiorową p. t.: „Noworocznik Ka-
liski“, o którym krytyka z pochlebnymi dla młodego
pracownika odzywała się pochwałami. Przez tak
krótki przeciąg czasu Z. Z., stosunkowo do sił
swoich, wiele zrobił i gdyby nie śmierć przed-
wczesna, nierównie więcej mogliśmy się spodzie-
wać od tego, dla którego praca jedynym była celem.
Jeżeli w tém co wydawał były jakie braki albo u-
sterki, nieuchronne u tych wszystkich co zawód li-
teracki rozpoczynają, a które to niedostatki niechę-
tne jemu głosy starały się przedstawić większymi,
aniżeli były wistocie, to metrzeba jednak zapomi-
nać, że Z. Z. wszystko sobie był tylko winien, a
pracami swymi dawał dowody szczerych chęci i
uczciwych dążeń:—zresztą któż jest bez grzechu,
ażebym mógł z czystym sumieniem, rzucić nań ka-
mieniem?

Dzisiaj grób prochy jego kryje, wspomnienie o nim
z biegiem czasu coraz bardziej zacięra się w pa-
mięci, niechaj więc te kilka słów bezstronnych, po-
święconych mu, będzie jakby ostatnią garstką ziem-
ni na jego mogiłę rzuconą.

A. M. Jawornicki.

OGŁOSZENIA.

Są do zbycia DWIE KOLUMNY z cie-
mnego marmuru z takimiż WAZONAMI.
Wiadomość w mieszkaniu W-go Korzona w domu
P. Walenckiego na drugim piętrze, ulica Kaliska.

Ciągły wzrost liczby pupilek powie-
rzonych mojej opiece, skłonił mnie
do przeniesienia utrzymywanej prze-
zemnie od lat 13-tu w mieście Skierniewicach pen-
sji żeńskiej do Warszawy. Jakoż z dozwolenia wła-
dzy naukowej, otwieram z początkiem roku szkol-
nego przy ulicy Maryjańskiej w domu pod Nr. 9,
CZTEROKLASOWĄ PENSYJĄ ŻEŃSKĄ.

O czém zawiadamiając Szanownych Rodziców
i Opiekunów, mam zaszczyt dodać, że obok nauk
planem przepisanych, wykladać zamierzam uczen-
nicom, w godzinach na roboty przeznaczonych, na-
ukę krawiecczynny, tak niezbędną każdej kobiecie.

Wkońcu śmiem nadmienić, że najlepszym dowo-
dem, jak w długoletniej mej praktyce pedagogicz-
nej zasłużyłam sobie na zaufanie Rodziców i Opie-
kunów młodzieży, jest właśnie ta okoliczność, że
wszystkie prawie pensjonarki, jakie mam obecnie
w Skierniewicach, przechodzą ze mną do War-
szawy.

Egzamina i zapis uczennic w nowo otwierającej
się przezemnie pensji, rozpoczną się z dniem 1-m
sierpnia r. b.

Leontyna Vacqueret.

(3—1)

w Drukarni F. Bełchatowskiego w Petrokowie.

Najnowsze nakłady Józefa Ungra.

OBRĄZKI SYBERYI

przez LUDWIKA NIEMOJOWSKIEGO

illustrował

E. M. ANDRIOLLI.

Dzielko powyższe formatu dzieł Zygmunta Kaczkowskiego, obejmuje 32 arkusze ścisłego druku.

Cena: w Warszawie rs. 1 kop. 50.

w Cesarstwie i na Prowincyi „ 1 „ 70.

DZIEŁA ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO TOMÓW 10.

Cena: A) Dla prenumeratorów Tygodnika Ilustrowanego lub Wędrowca:

w Warszawie tomów 10 rs. 10.

w Cesarstwie i na Prowincyi „ 11.

B) Dla nieprenumerujących powyższych pism, cena podwaja się.

Dzieła Zygmunta Kaczkowskiego można nabywać w oprawie, płacąc tom po rs. 1 kop. 40 w Warszawie,
a rs. 1 kop. 60 na prowincyi.— Obecnie wyszło ośm tomów.

KARTKI Z PODRÓŻY

od 1858—1864 roku

przez J. I. Kraszewskiego

ozdobione 80-ciu drzeworytami.

Cena: w Warszawie rs. 3 kop. 60.

w Cesarstwie i na Prowincyi „ 4 „ —

w oprawie ozdobnej zagranicznej:

w Warszawie rs. 5 kop. —

w Cesarstwie i na Prowincyi „ 5 „ 50.

Dzieła powyższe są do nabycia w kantorze drukarni Józefa Ungra w Warszawie, ulica Nowolipki
Nr. 2406 (3), oraz we wszystkich księgarniach w kraju i zagranicą.

(5—5)

Kupiłem w tych dniach u pana J. Gra-
bowskiego nowo sprowadzoną przez niego
herbatę z Warszawy moskiewskiej firmy „Kore-
szczenko“, która okazała się lepszą od każdej inną
dotychczas znaną. To mnie powoduje, że polecam
takową amatorom prawdziwie dobrej herbaty.

J. S.

W dobrach Łocheńsko, o wiorst 2 od
przystanku Rozprza jest do sprzedania
SKOPÓW OPASOWYCH sztuk 150 i do CHOWU
zdatnych również 150 sztuk.

(3—1)

Wprost kolei żelaznej jest do naję-
cia od 1-go Jana r. b. SKŁAD NA
ZBOŻE lub WEŁNĘ. Wiadomość przy ulicy Pe-
tersburgskiej (Kaliskiej) w sklepie Maksa Hirsza.

(3—2)

Potrzeba powiększenia i uczy-
nienia tańszą produkcji rolnąj

proceedzi za sobą konieczność obsługiwania jej ma-
szynami; co też mając na celu współziemianie PP.
Prądzyński i Trylski, jak wiadomo, zawiązali AN-
GLO - AMERYKAŃSKIE PRZEDSIĘBIĘSTWO
MASZYN, zadaniem którego: dostarczać rolni-
kom z najpiérwszych fabryk po najumiarkowań-
szych cenach, wyroby znane z najdokładniejszego
wykończenia, a przytém odznaczone na wielu wy-
stawach premijami i medalami. Myśl tę podziela-
jąc, przyjąłem na tutejszą guberniją AGENTURĘ
KORRESPONDENCYJNĄ, to jest: sprowadzanie i
nabywanie maszyn i do rolnictwa potrzebnych na-
rzędzi, dla okolic tutejszych z wszelkiemi możli-
wemi ułatwieniami. Cenniki i objaśnienia na każde
żądanie udzielam.— Adres: Petroków—dom Glej-
witza.

(3—3)

Stanisław Chrzanowski
właściciel dóbr Krzepców.

W dobrach Bogusławice, w gubernii i
powiecie petrokowskim, jest do sprze-
dania owiec zdatnych do chowu rasy Ne-
gretti macior sztuk 200 wieku lat 4 i 5, które za-
brane być mogą po odsadzeniu jagniąt, t. j. w po-
łowie sierpnia r. b. i skopów sztuk 300 wieku
lat 3, które zabrane być mogą po ostrzyżeniu weł-
ny, t. j. w początkach czerwca r. b. Bliższa wia-
domość na miejscu, adres: w Bogusławicach przez
Wolbórz.

(4—4)

Lewiński.

W KSIĘGARNI

LEONARDA CHODŹKI

w Petrokowie

znajdują się do nałycia

USTAWY SĄDOWE

obowiązujące

w guberniach Królestwa Polskiego

wydane w Petersburgu w językach rossyjskim i
polskim.

Cena za 3 tomy rs. 4. Na przesyłkę dolicza się k. 40.

(3—2)

Z powodu zmiany lokalu są do sprzedania za
przystępną cenę UTENSYLIIA SKLEPOWE. Wia-
domość w księgarni L. Chodźki.

(3—2)

PATRON

Daniel Zawadzki,

syn ś. p. Stanisława Zawadzkiego, niegdy patrona
kaliskiego, od dnia 11 (23) maja r. b. otworzył kan-
celaryją w mieście Kaliszu, tymczasowo w hotelu
J. E. Peszkego, — przyjmuje interesantów rano do
godziny 10-jej, popołudniu od godziny 4-jej do 8-jej.

(3—2)

A. CHMIELEWSKI

CHIRURG SZPITALA ś-jej TRÓJCY

W PETROKOWIE

zajmuje się dentystyką, t. j.: wyjmuje zęby i korze-
nie spróchniałe bez bólu, oraz czyści, plombuje,
zatrzuwa nerwy zębów bolących, jako też zajmuje
się leczeniem dziąseł.

Przyjmuje chorych każdodziennie do god. 12-jej
rano w szpitalu, gdzie podobne operacje łatwiej
mogą być wykonywane; od południa zaś udziela
wszelkiej pomocy na żądanie w domach prywa-
tnych.

(3—3)

Дозволено Цензурою.

Redaktor i Wydawca Antoni Porębski.